

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Po kamienistej drodze... (str. 738).

NA NIEDŹWIEDZIA!

Z moich wspomnień myśliwskich.

Jeszcze dziećmi, pierwszoklasistami będąc, ja i Leon wybieraliśmy się polować na niedźwiedzia. Z jakiej racyi napadła nas ta ochota, nie wiem na pewno, ale domyślam się, że z nasłuchania się od dziadka setnych opowiadań o księciu Panie Kochanku i panu Cetnerze, którzy byli wielkimi łobownikami niedźwiedzi i polowania na nie, i któ-

rzy niewyczerpaną tradycją o swych niedźwiedzych bohaterstwach i figlach zostawili po sobie w okolicy rodzinnej mego dziadka.

Później w szkołach nieraz ja i Leon opowiadaliśmy kolegom te „awantury” niedźwiedzie, jak je u nas żartem nazywano, a musieliśmy to czynić z przejęciem i tak samo nas słuchać musiano, kiedy aż zdarzyło się, że niedosłyszawszy dzwonka i niespostrzegłszy profesora, w obec niego z największym zapalem odegraliśmy oba całą jedną taką „awanturę” bo w zapale opowiadania często-

kroć ilustrowaliśmy wyrazy gestami. Aż raz znów pewien wymuskany paniczyk koleżka, rozgniewawszy się o coś, nazwał mię w obec całej klasy *niedźwiedznikiem*. Cała klasa ujęła się za mną, karząc paniczyka odrzuceniem od koleżeństwa, ale ja od-tąd starannie wystrzegałem się nawet wzmianki o niedźwiedziu, uznawszy, że ta wieczna moja o niedźwiedziach gadanina śmiesznym mię czynić musiała.

Z czasem przy nauce i pracy zapomniało się o dziecinnych marzeniach, natomiast zaczęliśmy tęsknić do wsi i do gór, do letnich wycieczek itp. co było bardzo naturalnem, gdyż zmuszeni koniecznością do ciągłej pracy w mieście, musieliśmy zwykłym ludzkim obyczajem pragnąć tego właśnie, czego nam brakło. Jakaż tedy musiała być radość nasza, gdy dostaliśmy stałe i jak dla nas dość korzystne miejsca w wiejskiem ustroniu, w powiecie Kossowskim, w pobliżu rzeki Czeremosz-Czarny. Zaczęło się tedy dla nas życie naprawdę rozkoszne, bo przy niezbyt uciążliwych obowiązkach i wakacyach, jakich nigdy dotąd niestety nie mogliśmy używać, teraz często bardzo bujaliśmy po górach i lasach swobodnie, co jest rzeczą prawdziwie rozkoszną, jak o tém z doświadczenia już teraz zapewnić każdego mogę.

Wycieczki wszelkie odbywaliśmy zawsze w towarzystwie Huculów, co stanowiło jedną przyjemność więcej i to wielką przyjemność taką, jaką może sprawić obcowanie z dzielnymi i zacnymi do gruntu ludźmi. *Huculi*, jest to nazwa ludu tamtejszego. Lud to śliczny, wysmukłej i zręcznej postawy, pełnej swobody i dumy, jeździ konno tak przepyszenie, że rozkosz nań jest patrzeć, ubiera się ładnie, kocha się szczególnie w amarantowej barwie, a odzienie i uzbrojenie nosi z węgierska wojaackie. Mają Huculi przy nadzwyczajnych cnótach i wady pewne, ale właśnie, jakby z przesady tych cnót pochodzące. Sami bardzo dumni, nie mają litości dla nikczemnych; sami bardzo przyjacielscy i serdeczni, stają się nieubłaganymi wrogami tego, kto ma nieszczęście ich obrazić. Mściwość Huculów znaną jest daleko i szeroko. Z powodu téj ich dumy, szlachetności, odwagi, i dzielności, niektórzy pisarze utrzymują, że ci Huculi są potomkami dawnéj serbskiej szlacheckiej straży honorowej, która przybywszy w te miejsca ze swym wodzem, osiedliła się tu, i zaparta w swych niedostępnych górach, niewiele odmieniła przez ciąg wieków swój pierwotny charakter.

Są to rzeczy tak dawne, że wnioskować o nich *na pewno* jest niepodobna. Tyle jednakże *jest pewnem*, że jeżeli głęboko pojęta godność osobista jest dowodem szlachetności pochodzenia, to Huculi są prawdziwie szlachetną szlachtą. Powierz-

chownie patrząc na te rzeczy, widzimy tylko, że to są dzielni i piękni górale, ale tak dumni, że *być Huculem* stanowi w owych stronach zaszczyt prawdziwy, i dla tego też nawet zamożni niektórzy i wykształceni tamtejsi ludzie chlubią się tém, że są *Huculami* z rodu.

W takiem to właśnie huculskiem towarzystwie, w którym przy ojcach i braciach znajdowało się nawet parę dziewczątek, nazywających się same *Huculkami*, pojechaliśmy pewnego pięknego a bardzo wczesnego poranku, ani mniej ani więcej, jak tylko... na niedźwiedzia! — bo dziecinne marzenia przypomniały nam się przy swobodnem, rażnem wiejskiem życiu. A o niedźwiedziach słyszeliśmy ciągle naokoło.

Po kamienistój, dzikiój, trudnej drodze, którą nawet drogą nazywać nie warto, jechaliśmy w trzy wózki, które miejscami podierać i podtrzymywać trzeba było, aby się ze skał w przepaść nie wyróciły. Było nas ośmiu wraz z woźnicami. Na pierwszym drogi zakręcie siedziały zaraz dwie cyganki na kamieniach, co już nam niedobrze wróżyło, wedle przesądu, i istotnie konie tak jakoś nagle szarpnęły, że tylko co nie wpadliśmy w przepaść... ale ponieważ wróżyby niedobre były, a więc jechaliśmy *témbardziej* ochoczo, nie wierząc w przesady albo raczej po huculsku o nie nie dbając. Na prawdę nie byliśmy przecież Huculami, dopiero wyjechawszy na *wierchy*, to jest szczyty, wpadliśmy między Huculów prawdziwych, po huculsku ubranych, z którymi umówiliśmy się o tę wycieczkę.

Było to w końcu Czerwca, właśnie w czasie, gdy po stopnieniu śniegów na wierzchołkach, Huculi wybierają się uroczyście i z wielkim zachodem z całemi stadami swemi i trzodami na letnią paszę w góry, na tak zwane *poloniny*. Już od kilku tygodni ze wszystkich stron, po całych nocach, dochodził nas od gór prześliczny odgłos dziwnych huculskich trąb, czy fletni pasterskich. Jest to narzędzie muzyczne niezmiernie długie, bo na cztery i więcej łokci nieraz, zrobione z *kory*, a więc jest to koniec końców *fujarka*. Oczywiście, aby dobrze dać w *taką* fujareczkę, trzeba mieć bardzo mocne piersi. Ale za to, tony wydobyte z tego narzędzia są tak cudownie i anielsko miłe, że dla tych już samych dźwięków, rozbrzmiewających co wiosna, gotów byłbym na resztę życia pozostać pośród Huculów.

Wiosna jest tu ogólną radością. Muzykę tę śpiewną, brzmiącą i przeciąglą, do potężnego śpiewu raczej podobną, słyhać tu na wiosnę prawie bezustannie po zmierzchu, a wśród jéj tonów łagodnych tu i owdzie rozbrzmiewają wystrzały, ni by wiwaty lub okrzyki powitalne, któremi witają się spotykający z sobą Huculy. Pojedynczy go-

spodarze, zazwyczaj jadąc na koniach tak się wita-
ją, częstują się przytém winem lub wódką, które
z sobą wożą w baryłkach, a celem tych spotkań
jest umawianie się o wspólne pasienie trzody,
a najprzód o miejsce ogólnego ku temu zebrania.

Na takie to właśnie miejsce ogólnego zebrania
już umówione i myśmy dążyli. Zbliżając się już,
ujrzeliśmy na zielonej górnej łące liczne grono
ludu, do barwistych kwiatów podobne, bo tu już
Huculi prawdziwi po swojemu byli ubrani w pię-
kne ciemno-pasowe, slicznie wyszywane serdaki,
krótkie po kolana, pod nimi mieli kieptary, to
jest kożuszki bez rękawów, czarnym barankiem
obłożone i wyszywane barwisto, spodnie amaran-
towej barwy, najczęściej szerokie i w buty wpu-
szczone, na piersi z pod rozwartej ozdobnej odzie-
ży wygląda biała koszula; kapelusze okrągłe, pasy
z brzęczącymi sprzączkami, noże ostre, pistolety
dobre, torby, torebki na proch, pieniądze, tytoń,
wszystko to błyszczące i piękne, dopełniało ozdo-
bnie ubrania górali Huculów. Kobiety Huculki,
których także było tam mnóstwo, miały strojne
barwiste serdaki i kieptary, zgrabne i opięte, ja-
skrawe zapaski, to jest spodnice, ale nie zszywane,
dla łatwiejszego dosiadanania konia i chustki jaskra-
we na głowach, a dziewczęta wstążki w warko-
czach.

Przybywszy na miejsce, zostaliśmy powitani
huczny m okrzykiem i wystrzałami, a złączywszy
się z innymi, i my tak samo witaliśmy nowych
przybyszów wraz z ich stadami. Potém poszliśmy
jeszcze dalej wszyscy razem, pędząc przed sobą
nieprzeliczone na oko stada owiec; naprawdę było
ich ze siedemset, a drugie prawie tyle szło koni
i bydła. Idąc, wciąż na uciechę grano i strzelano.

Z południa dotarłszy na miejsce, do tak zwa-
nych *stai*, rozpoczęto wybór wodza, czyli watahy
na przeciąg letniej paszy. Wybór ten odbył się
prędko, bo już idąc wszyscy przyznawali, że dziel-
ny Juruk najlepszym będzie watahą. Huczniemi
wystrzałami ogłosiliśmy światu obiór Juruka, on
w zamian również z obu rąk huknął z pistoletów,
rozpalono wielkie ogniska, zarznięto i upieczono
parę najpyszniejszych baranów, postawiono wino
w baryłkach i rozpoczęliśmy ucztę pod gołem nie-
bem, przy ogniskach, pierwotnym, a wesołym i łat-
wym sposobem, tak prawie, jak to Homer o ucz-
tach greckich bohaterów opowiada.

Po zakończonej wystrzałami i nieustającym
graniem ucztę, wataha wyznaczył z tłumu Hucu-
łów tych, którzy przy stadach pozostać mieli
z nim na połoninie, przyjął i nas pod swą niejako
opiekę, a reszta ludu, wszystkie kobiety, zwolna
przy ciągnięciu graniu i strzelaniu zawróciły z po-
wrotem do wiosek. Tymczasem my pozostali roz-

paliśmy na noc wielkie ogniska na połoninie, dla
ochrony stad i nas samych od dzikich zwierząt,
a mianowicie wilków i niedźwiedzi.

Noc już zapadała, echa przynosiły nam jeszcze
odległe strzelania i dźwięki powracającego do do-
mu ludu, Huculi, szybko obiegając stada, porzą-
dkowali je na noc ostatecznie przy pomocy rażnie
szczekających piesków swoich; wataha, stojąc na
wzgórzu, głośne i donośne wydawał rozkazy, my
dwaj z Leonem, nauganiawszy się, pomagając Hu-
culom, rozciągnęliśmy się zmordowani przy ogro-
mném ognisku. Po chwili pokończono przygoto-
wania, na noc rozstawiono warty, jak koło obozu
i sam wataha Juruk, a za nim kilku Huculów na
zmianę, przyszli do nas spocząć przy ognisku, aby
następnie być w pogotowiu do wyręczenia swych
czuwających towarzyszy. Ogień płonął wesoło,
noc była cudna, choć wszyscy byli zmordowani,
nikomu przecież spać się nie chciało, rozpoczęła
się tedy ochocza nad ochoczemi gawędka, a jej
przedmiotem i główną treścią był zwykły bohater
tego rodzaju huculskich gawędek — niedźwiedź,
najgroźniejszy z otaczających nas nieprzyjaciół.

Nie potrafię wyrazić, jak mię to serdecznie za-
jęło. Miałem takie uczucie, jakbym na nowo był
pierwszoklasistą i dziadka powieści o księciu Pa-
nie Kochanku słuchał. Gdybyście chcieli, tobym
wam mógł spisać kilka śmiesznych i strasznych
zarazem tych huculskich powieści, o ich przygo-
dach z niedźwiedziami na połoninach, ale obecnie
tylko tę pierwszą własną moją przygodę opowiem.

Otoż gdy siedzimy tak lub leżymy zagawędze-
ni przy ognisku, zwolna gdzieś z krańca stad daje
się słyszeć ryk jakiś słaby, bo pojedynczy, ale nie-
wymownie przeraźliwy i smutny. Wataha zerwał
się na nogi:

— Ot go masz! o nim gawęda, a on i tuż! —
zawołał.

Oba z Leonem staliśmy już u boku watahy,
podążając śpiesznie za nim w stronę, z której ryk
pochodził.

— Ależ to chyba nie *on*, kiedy psy nie szczeka-
ją! — powiedziałem nagle, psim milczeniem zdzi-
wiony.

— Bo *mys* ma rozum, podchodzi przeciw wia-
trowi, żeby go psy nie zwęszyły! — objaśnił mię
Hucul.

— A to jakże zwęszyć go może to bydło, które
tak żałośnie ryczy? — pytałem.

— Bydło nie węszy go, tylko *przeczuwa*... —
z zabobonnym jakimś wyrazem wataha odrzekł.
Staliśmy już przy ryczącém, a raczj jęczącém ża-
łośnie ale cicho, może ze strachu, bydle rogatém,
wmieszaliśmy się między nie z brzegu.

— Trzebaby koniecznie odrazu dobrze ucze-

stować pierwszego, który nas zaczepi, ażeby po tym poczęstunku strach poszedł po *mysiach*... — szeptał z cicha wataha, widocznie myśląc raczej zasadzić się na niedźwiedzia, niż go odstraszać tylko, co wedle zdania Huculów nie łatwem jest wcale, bo niedźwiedzie te nie boją się nawet ognia.

— Idę na niedźwiedzia! na niedźwiedzia... — szeptało mi serce radośnie, jakbym był pierwszoklasistą, choć stukało daleko prędzej niż zazwyczaj, gdy naśladowując ruchy watahy wsuwałem się między pierwsze z brzegu szeregi bydła; Leon szedł tuż za mną. Wataha zatrzymał się po chwili i trącił mię ostrożnie, wskazując w lewo ku niewielkim zaroślom, gdzie ja, nie mający wzroku górą, nic zrazu dostrzedz nie mogłem. Po dłuższej chwili wszakże poruszyło się *coś*, co ja dotąd przy jasnym świetle księżyca brałem za skałę...

— To *on!*... — szepnął wataha. Niedźwiedź, daleko mniejszy i mniej groźny z pozoru, niż się spodziewałem, zatrzymał się po kilku krokach w miejscu osłoniętym trochę, jakby węszył, potem iść zaczął prosto ku nam i istotnie *pod* wiatr, cicho, prawie bez żadnego szelestu... przypomniałem sobie gawędę huculską o tém, że niedźwiedź trzyma w łapkach kupki *mchu*, aby cicho stąpać. Nie wiem, czy to być może, ale ten, o którym mówię, cicho bardzo szedł naprawdę. W chwili, gdy już zbliżył się na strzał, bystry wataha, dostrzegłszy moje poruszenie, skinieniem zabronił mi strzelać, a sam wsunął się zręcznie poza ciełe, do którego niedźwiedź się zdawał kierować. Wataha mierzył prosto w łeb, ja opuściłem broń na jego skinienie, gdy wtém Leon, który tego skinienia nie mógł widzieć, palnął z poza mnie i... chybił! Hucul zaklął i aż splunął z gniewu, opuszczając broń, bo niedźwiedź odskoczył w tył, przez co i wataha musiałby był spudłować:

— Otoż to tak jest z mieszczuchami! — rzekł wataha ze złością — rwie się to do wszystkiego i nikogo nie słucha, a samo jest do niczego! Teraz ten bestya myśl, wróciwszy do swoich, ogłosi, że na téj połoninie niedołęgi siedzą i całą bandę swych psych-bratów na kark nam sprowadzi! otoż to tak!..

Tak rozpacział wataha, wyrażając się o mieszczuchach bez ceremonii, gdy wtém wydał okrzyk radości bo... kamień celnie rzucony uderzył go prosto w głowę, gdy powstawał ze swego ukrycia.

— Hura! to jakiś porządny kmotr! stawi się, zamiast uciec po chybionym strzale! to może się da jeszcze rzecz naprawić! — tak mówił wataha i przycisnąwszy do siebie strzelbę tak, że jej prawie widać nie było, szedł prosto na mysia, cisnąwszy nań ten sam kamień, którym uderzony został, a idąc mówił do nas.

— I wy pójdźcie... żeby mu uwagę rozerwać, a schowajcie broń, żeby nie uciekł; trzech się nie złąknie, a strzelby złąknie, bo doświadczony jakiś.

Mówiąc tak wataha, znów cisnął kamyk na niedźwiedzia.

My, jak chciał wataha, szliśmy już z wolna, każdy oddzielnie, ku niedźwiedziowi, który ujrzawszy nas, z nadzwyczajną zręcznością wspiął się na tylne łapy i odrazu obu przednimi dwa kamienie, jeden na watahę, drugi na mnie rzucił. Wataha, wprawny i przygotowany na to, uchylił się zręcznie, ale ja oberwałem porządne uderzenie w piersi. Bez namysłu, z gniewem pochwyliłem jakiś kamyk z ziemi, ale ciskając go na niedźwiedzia, rozśmiałem się na całe gardło z téj gry w piłkę ze zwierzem. Nie trafiłem w mysia tak celnie, jak on w nas trafiał, ale rozumiałem dobrze, iż chodzi o to, aby rozdrażniając gniewliwego a odważnego zwierza przybliżyć się do niego nieznacznie tak, aby wataha mógł strzelić na pewno, gdyż nie miałem ochoty dawać mu złego wyobrażenia o mieszczuchach. A wtém, czy mój pocisk, czy też śmiech głośny, bo Huculy utrzymują, że niedźwiedź głośno ludzkie na poły rozumie, rozdrażniły go tak bardzo, że niespodzianie, chwyciwszy już sporą młodą drzewinę, w pobliżu rosnącą, wyrwał ją z ziemi, jakby świeczkę z lichtarza, i przyskoczywszy do nas zaciekle, z rykiem gniewliwym począł okładać mnie i Leona zarazem tak gęstemi a potężnymi razami, że oba runęliśmy o ziemię wprzód, nim zdołaliśmy pomyśleć, co czynić trzeba?... Byłby nas zabił niechybnie, gdy wtém wystrzał zabrzmiał mi tuż nad uchem i drgający niedźwiedź z jękiem powalił się na mnie. Uczułem ból przenikliwy i straciłem przytomność; gdy wróciłem do zmysłów, ujrzałem Leona i watahę schylonych nademną. Wataha opatrywał moje rany przy świetle główki, trzymany przez Huculów i po chwili rzekł:

— E głupstwo! już mu łapa sztywniała, kiedy was chwycił padając, a od drzewiny macie ino dwie rany i sińców trochę. Odejdzie to za trzy dni, a co bestya *nie ogłosi* nas za niedołęgów, to nie! — i pomógłszy mi się podnieść, wataha z zadowoleniem poklepał martwego, obok mnie leżącego niedźwiedzia.

Tak było spełnione moich lat młodocianych marzenie; i patrzcie, jak niestałe są ludzkie żądze! Od owego czasu nie zapragnąłem więcej ani razu spotkania z ideałem mojej młodości: miałem już dosyć niedźwiedzia.

Michał Krzemień.

DŹWIĘKI OJCZYSTEJ PIEŚNI.

Gawęda o Franciszku Karpińskim,

przez Z. Morawską.

— Janku, Janku! tylko szybko! Posłuchaj, wszak to ta sama pieśń, której nas Marcin nauczył?

— Słyszę ją, słyszę, siostrzyczko kochana, i dla tego biegnę do ciebie, żeby pójść razem na wieś i przysłuchać się lepiej tej pieśni — rzekł piętnastoletni może chłopiec, zbliżając się do młodszej od siebie dziewczki, stojącej w ogrodzie, blisko bramy na wieś prowadzącej.

— Przysłuchaj się tylko — rzekła dziewczka, biorąc brata pod rękę — Janku, naprawdę to ta sama pieśń!

— Chodźmy Małgosiu, pójdźmy pod krzyż, ztamtąd dochodzą nas głosy, zapewne więc tam śpiewają wieśniacy. Zbliżka lepiej się przysłuchamy.

— O! nietylko jęj się przysłuchamy, ale nawet razem z nimi śpiewać będziemy — rzekła Małgosia, idąc razem z bratem. — Wszak nie zapomniałeś jęj, nieprawdaż, Janku?

— A któżby tej pieśni zapomniał? — odparł Janek. I przyspieszywszy kroku, przeszedł wraz z siostrą drogę, gdzie po drugiej stronie wpośród zieleni stał krzyż na podmurowaniu. U stóp krzyża jaśniało bladym promykiem kilka małych lampek, a w około klęczeli lub stali wieśniacy i wieśniaczki różnego wieku, śpiewając:

Niebieskiego dworu Pani,
Do Ciebie z płaczem wołamy;
Ewy synowie wygnani,
Litości Twojej żądamy.

Na wielu nam rzeczach zbywa,
Nędza człowieka uciska;
Tylko swą nagość okrywa
Tém, co z łaski Stwórcy zyska.

Ty, najbliższa Twego Syna,
Powiedz Mu o naszej doli:
Niech wad naszych zapomina,
Lepszego bytu dozwoli.

Matko, my dziećmi Twojemi!
Patrz na stan nasz, nie na winę;
Módl się za nami grzesznemi,
Teraz i w śmierci godzinie.

— Nie, to nie ta pieśń — rzekła wsłuchując się Małgosia.

— Tak, to inne wyrazy, lecz melodia ta sama — szepnęła Janek; oboje jednak dalej słuchali.

Gdy ucichły wyrazy jednej pieśni, ktoś inny

z pomiędzy wieśniaków rozpoczął drugą. Ludu coraz to więcej przybywało, a Janek i Małgosia, stanąwszy pod drzewem, wsłuchywali się w te proste dźwięki z taką dziwną ciekawością, jak gdyby dźwięki te dopięro po raz pierwszy słyszeli.

Nareszcie zabrzmiała pieśń wieczorna; pieśń na tę samą nutę śpiewana, co i pierwsza, a nasi młodzi znajomi, na odgłos pierwszej zwrotki, pomimowoli zgięli kolana i złączyli swoje wdzięczne głosy z głosami wieśniaków.

Śpiew płynął ku górze, rozlegając się echem po rosie, a na twarzy Janka i Małgosi, oprócz rzewnej modlitwy, znać było, że z pieśnią tą płynęło im do serca jakieś inne uczucie, budzące jakby odległe wspomnienie. Twarz bowiem Janka naraz spoważniała, rysując długą kresę na jego chłopięcém czole, a w oczach Małgosi zabłyśły łzy, które chciała ukryć przed bratem, a które licowały doskonale z jęj żalobną sukienką.

Wieśniacy, odśpiewawszy ostatnią modlitwę, powoli rozchodzili się do domów.

— To pewnikiem naszego pana krewniaki? — rzekła jakaś podżyła wieśniaczka, trącając sąsiada łokciem.

— A juści, to po tym bracie, co to z nim stary Marcin wywędrował na zagraniczość. I Marcino wi i panu się zmarło, a *nasz* przywiózł sieroty.

— Moiście wy! to *dopiru!* a czy też to aby chudziaczki polską mowę rozumieją, boć to ich matka pono była zagraniczna?

— Ech, nie bajalibyście, moja kumo; co nie mają rozumieć? Tociście słyszeli, jak śpiewali wspólnie z nami. A jakie mają cieniutkie głosy!

— Aha, a juści.

I tak gwarząc, wieśniacy wracali do domów, oglądając się na naszych młodych znajomych.

— Janku! Małgosiu! — dał się słyszeć donośny głos mężki z ogrodu.

— Wujaszek nas woła! — rzekła pierwsza Małgosia, budząc się z zadumy i biorąc za rękę brata. Janek zaś z odkrytą głową, trzymając czapkę w rękę, stał jeszcze w tém samém miejscu, jakby chciał, żeby echo powtórzyło mu ową pieśń, której ostatnie dźwięki co tylko przebrzmiały w powietrzu.

— Ach prawda, wujaszek woła; chodźmy więc co żywo. I biegli znów ku bramie ogrodu.

— A gdzieżeście to chodzili? ho, ho, co za postępek, już za bramą ogrodu! i jeszcze o zmroku! — rzekł zbliżając się do nich mężczyzna w podeszłym już wieku.

— Wujaszku kochany — szczebiotała Małgosia, odzyskując właściwą swemu wiekowi żywość. — Tam pod krzyżem śpiewali... śpiewali tę pieśń, co to ją z nami Marcin zwykle śpiewał wieczorem

Poszliśmy posłuchać, a nawet i zaśpiewać — do dała Małgosia, ujmując wuja pod rękę. — Ale, mój wujaszku, zjadł oni tę pieśń umięją? — pytała dalej.

— Zkąd? Dziwne masz czasem pytania, moja Małgosiu — rzekł milczący dotąd Janek. — A zkądże ją umiał nasz Marcin? przecież nie nauczył jej się z książki, bo czytać nie umiał. Musi to być pieśń ludowa. Prawda, wujaszku? Czy wujaszek słyszał tę pieśń? — pytał chłopiec dalej, nie mogąc sobie na to odpowiedzieć, zkąd ją wieśniacy umięją.

— Słyszałem ją nieraz, słyszałem ją i dzisiaj, mój chłopcze. Masz słusność, jest to pieśń ludowa, a jednak nie złożył jej lud sam. Pieśń do Matki Boskiej, oraz pieśń wieczorną, równie jak i wiele innych pieśni pobożnych, przez lud śpiewanych, ułożył Franciszek Karpiński, poeta z końca XVIII i początku XIX stulecia.

— Jakto, proszę wuja, to w Polsce, to u nas — poprawiła się Małgosia — był jaki poeta, co się nazywał Karpiński? Ja tylko słyszałam, że był poeta Mickiewicz, ale nie wiedziałam, że było ich jeszcze więcej.

— Nie dziwię ci się, moja Małgosiu, żeś nie słyszała o naszych poetach; — rzekł wuj z pewnym niezadowoleniem w głosie. — Smutno mi, a jednak nie dziwię wam się, dzieci moje, że nic o tém, co kraj nasz obchodzi, nie wiecie. Zbyt wczesnie straciliście ojca, matka wasza, jako cudzoziemka, nie mogła was tego nauczyć. Wychowani na obcej ziemi, dobrze żeście przynajmniej ojczystej mowy nie zapomnieli.

— Jakto, proszę wuja, a przecież Marcin...

— Pocziwy jesteś chłopiec, mój Janku, żeś zachował pamięć tego nieocenionego człowieka. Był on tylko prostym wieśniakiem, a jednak zasługuje na cześć waszą. Pod jego prostą odzieżą biło pocziwe serce, a gdy raz przyrzekł umierającemu waszemu ojcu, że jego dzieci nie zapomną rodzinnej mowy, tak też i dotrzymał słowa. Był on prawdziwym opiekunem waszym i waszej chorągwi matki do ostatniej chwili. No, ale nie roztkliwiajcie się, moje dzieci; cześć pamięci zmarłych, poświęćmy im modlitwę i wspomnienie. A wy, jako młodzi, otrząśnijcie się ze smutku, pokochajcie rodzinną ziemię waszego ojca, w której teraz żyć będziecie; no, i trochę także starego wuja — dodał z serdecznością, przygarniając do siebie jasną główkę Małgosi. A uściskawszy Janka, usiadł z nimi na kamiennych schodach starego domu. Jesteście dopiero od dni kilku u mnie; powoli, powoli, dowiecie się dużo rzeczy, które was obchodzić powinny.

— O, z pewnością — rzekł Janek — ale, mój

wuju, jakim sposobem wieśniacy śpiewają pieśni Karpińskiego? przecież oni czytać nie umięją; zkądże się ich nauczyli?

— Złe masz wyobrażenie o naszym ludzie, mój Janku. Wprawdzie lud nasz mało ma jeszcze oświaty, ale nie jest znów tak źle, żeby nikt już pomiędzy wieśniakami czytać nie umiał. Dziś nawet znajdują się już takie wioski, gdzie niema ani jednego takiego nieuka. Wtedy jednak, kiedy Karpiński pisał swoje pieśni, bardzo niewielu z książką się znało. Jestto więc prawdziwą zasługą naszego poety, że tak umiał trafić i przemówić do serca ludu, iż lud zrozumiał te słowa, przyswajał je sobie, a śpiewając jego pieśni, tak zrósł się z niemi, jak gdyby one powstały z jego serca i przez usta ludu wypowiedziane zostały. Pieśni tych każda matka razem z pacierzem uczy dzieci swoje. To też każdy wieśniak, oprócz przesłicznej pieśni porannej: „Kiedy ranne wstają zorze”, oraz wieczornej, którą tylkoście słyszeli, umie jeszcze wiele innych, jak na przykład: Przy pracy, o pogodę, o deszcz...

— Ale, mój wuju — ozwała się Małgosia — czy Karpiński był wieśniakiem, że tak umiał trafić do serca ludu i pieśni swoje do jego pojęcia zastosować?

— Czyż to myślisz, moje dziewczę, że koniecznie trzeba pochodzić z ludu, ażeby znać jego umysł i serce? Trzeba tylko się z nim zbratać, zrozumieć jego potrzeby, słowem wiedzieć, co go ucieszy, a co zasmuci, to powoli można i uczuciem jego owołać. Nie łatwa to rzecz wprawdzie, ale dokonał tego Karpiński, który nie był wieśniakiem, lecz z dziada pradziada szlachcicem.

— Jakże on doszedł do tego, że jego pieśni są tak przez lud znane? — pytał Janek.

— Jak widzę, wyciągacie mnie dzisiaj na gawędę. A no, niechaj i tak będzie. Wieczór ciepły i pogodny, niebo usiane gwiazdami, wszystko właśnie do gawędy sprzyja. Zresztą, trzeba korzystać z każdej chwili, żeby was zapoznać ze wszystkiem, czém kraj nasz w przeszłości pochłubić się może.

Franciszek Karpiński urodził się r. 1741 na Pokuciu, we wsi Hołoskowie, w bliskości miasta Kołomyi. A jako mało jeszcze obeznanym z geografją kraju, muszę wam powiedzieć, że Pokucie leży w Galicyi nad rzeką Prutem. Ale powróćmy do naszego poety. Matkę wczesnie Karpiński utracił, ojciec zaś jego, wielkiej pobożności i surowych zasad szlachcic, w takichże samych i syna wychowywał. Na początkową naukę oddał ośmiolatniego chłopca do miasteczka Stanisławowa, gdzie gdy przyjechali, Franusiowi, przyzwyczajonemu do rozległych pól ojczystej wioski, tak się

niepodołały ponure mury klasztoru Jezuitów, iż uwiesiwszy się za wozem ojca, chciał powrócić do domu. Nie obrachował jednak chłopczyna, że pilne oko rodzica dostrzeże go z pewnością. Zaledwie więc wyruszyli z miasta, ojciec odkrył zbiega, a wymierzwszy należyta karę, odwiózł napowrót, poleciwszy bacznęj opiece OO. Jezuitów. Po tój nieszczęśliwej próbie, pogodził się już ze swym losem Karpiński i pilnie wziął się do nauki. Po przebyciu kilku lat w Stanisławowie, poszedł do szkół Lwowskich, zostających również pod kierunkiem Jezuitów, po ukończeniu nauk powrócił do domu.

(D. c. n.).

Ł A G W I E.

Od najdawniejszych czasów, równie jak dzisiaj, do przeprawy przez bystre rzeki używano w Indyach tak zwanych *łagwi*, przedstawionych na rycinie naszej. Dziwne te statki robią się ze skór młodych bawołów, urządzonych w sposób przypominający kształty tych zwierząt. Każda łagiew wydęta powietrzem, oprócz ładunku pewnej wagi, utrzymać może na wodzie człowieka, który nią kieruje. Jeżeli ładunek jest ciężki, tworzy się zwykle pewien rodzaj tratwy przez połączenie kilku łagwi.

SPEŁNIONE ŚLUBY.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M . . a.

(Dokończenie).

Piastowie siedzieli na *jego*, jak je zwał, księztwie, otoczeni taką swego ludu miłością, że ta miłość silniejszą była od grodów i murów przeciw Hastingsowym podejściom. I o tę to miłość chodziło mu właśnie. Wiedział on dobrze, że w niej jest potęga, której nigdy nie posiadał ród Popielów, a Piastowie posiadli odrazu, za sprawą Ansgarowych czarów, jak był przekonany. Tych to czarów, któreby odwróciły serca Polan od Piastów, a do niego, potomka Popielów je zwróciły, żądał on od Ansgara. Dla tego pochwycić znowu Ansgara było dniem i nocą nieustannym Hastingsa staraniem. Ralf, świadek nieledwie myśli jego, a daleko lepiej rozumiejący wiele słów Ansgarowych, nieraz głęboko się sam namyśliwszy, próbował wytłómaczyć i sobie, i wodzowi to, co sam raczej czuł, niż rozumiał, a mianowicie, że potęga miło-

ści, że serca ludu, nie czarami się zdobywają, ale właśnie także taką samą właśnie miłości potęgą.

— Piastowie — mówił — dbają tak o dobro Polan, jak o swoje własne, a za ziemię i bogów, których mają wspólnych z narodem, gotowi są oddać życie. Cóż więc dziwnego, że Polanie oddają im to, co od nich dostają, a co wspólną potęgę stanowią?... Z wami zaś, Popielami, ty wiesz najlepiej, że było wcale inaczej.. Któż więc zaręczy, czy owa moc, o którą ci chodzi, nie wyradza się tak sama z tych rzeczy, i czy Ansgar cię zwodzi, gdy mówi, że ona od ciebie samego zależy, a nie od niego, który żadnym wcale nie jest czarownikiem?

— Odemnie! więc cóż ja mam czynić? — gwałtownie pytał wódz rozszalały. A Ralf odpowiadał w duchu Ansgara:

— Daj spokój temu, co przepadło, a to, co masz w twój mocy obecnie, obróć ku wytworzeniu tój potęgi, o którą ci chodzi. Zakaż rozbijać spokojne okręty i grody, bo to jest dzikie szaleństwo, a prawdziwy wojownik tylko w otwartym i równym boju może mieć rozkosz taką, jaką rozumiał mój brat ślubny i ja rozumiem. Ale i sam nie rozbijaj także, ty, który i tak oczy znudzone od rozboju odwracasz, i zdobycz nogami w morze strącasz, nie wiedząc już sam, co z nią czynić. Tu, na tęp wybrzeżu, na wyspach i wysepkach, wśród których są twoje rozbójnicze chatki, pobuduj sioła spokojne takie, w jakim i ja zrodzon jestem, i pamiętam spokój jego, zapach siana i kwiecica, i wesoły płomień na kominie w spokojnej, czystej chacie, gdzie matka nasza gotowała strawę dla licznej drobnej rodziny. I otocz te wszystkie sioła opieką twoją; niech żaden rozbitek, żaden wędrowiec nie odejdzie od nich smutny, jak Ansgar od wrót kruszwickiego zamku odchodził, przeciw staremu Polan zwyczajowi, który dziś Piastowie szanują. Wtedy zwrócą się ku tobie serca ludzi tak, jak się ku Piastowi zwracają; potęga ich miłości otoczy cię bez czarów niezdobytym murem, a ty za to niezwykłom mieczem twym bronić będziesz spokojnych poddanych od grabieżców krwiożerczych takich, jakimi my wszyscy i ty sam jesteś dzisiaj. A jeżelibyś tego wszystkiego sam nie umiał uczynić, to nie chwytaj podstępnie, tylko wezwij szczerze Ansgara do pomocy, a on przybędzie wtedy niechybnie nauczyć ciebie i lud twój, jak żyć można szczęśliwie w spokoju.

Tak, lub podobnie, mówił Ralf bardzo często. Wódz słuchał z drwiącym na ustach uśmiechem, aż gdy Ralf mówić przestał, tamten pytał z nie-nacka:

— A gdy ja tak wszystko uczynię, jak mówisz, czy ty wtedy wyrzeczysz się twój zaprzysiężonej

cieniom ślubnego brata pomsty na mnie? czy ze mną zawrzesz śluby braterskie, aby potrójna moja przysięga była spełnioną?

Na takie zagadnienie, Ralf zwyczajnie podskakiwał z miejsca, chwycił za miecz, a ujrawszy przed sobą bezbronno, z chytrym tylko uśmiechem nań patrzącego wodza, uciekał od niego w skały, jak jeleń przez łowców ścigany; i przez długi czas, po każdej podobnej z Ralfem rozmowie, zalegało długie milczenie pomiędzy tymi dwoma towarzyszami-nieprzyjaciółmi, kto wie, czyli w gruncie serc nie kochającymi się wzajem, choć sami o tém nie wiedzieli. Ziarno nauki Ansgara plonowało w roli serc ich dzikich bez ich wiedzy, a oni sami siebie i tych plonów pojąć jeszcze nie mogli, choć nie ulegało już wątpliwości, że z czasem pojąć je muszą, gdy ono raz jak ziarnko gorczyczne rozplenilo się w ich duchu.

Tak stały rzeczy, gdy pewnego poranku maleńka, szybkolotna, nadzwyczajna łódź posłannicza, wśliznęła się, jak zwinny szczupak, pomiędzy skały i inne łodzie, zalegające przystań u stóp skalistego zamku Hastingsowego. Na szczycie jej maleńkiego masztu powiewała czerwona chorągiewka, to też w jednej chwili wszystkie przejścia i strażnica stanęły otworem, i posłaniec, który tą łódką przybył, stanął przed wodzem. W chwilę później trąba rozniosła rozkazy, kilkadziesiąt najpyszniejszych łodzi, kilkuset najdzielniejszych towarzyszy, czoło towarzystwa z samym Hastingsem na czele, sunęło na nową i nie lada znakomitą wyprawę; wybór łodzi z posterunków po chatkach przyłączał się do nich po drodze. Wódz milczał i śpieszył, bystrym okiem, z jadowitym swym uśmiechem, spoglądając na ogrom swjej potęgi, zwiększający się prawie co chwila w biegu, niby lawina, gdy spada ze szczytów gór śniegiem pokrytych do doliny, różami zasłane. Nie często z tak wielkimi siłami Hastings wyruszał. Pomiędzy łodziami i ponad nimi rozwiewały się na skrzydłach wiatru okrzyki radosne:

— Przecież! ach, przecież! wszystko gotowe! dalej! prędzej! do bogatj Luny! będzie igraszka nad igraszkami, nie wiele jest miast tak rozkosznych!

Hastings stał wyprostowany na przodzie swjej łodzi, ręce swoim zwyczajem na piersi złożył, patrzył teraz w przestrzeń oceanu wprost przed siebie i uśmiechał się po swojemu tym uśmiechem, na który nawet przyzwyczajeni doń drżeli. Nikt nie wiedział, co rzeczywiście pędziło go do Luny. Owa łódka posłannicza przywiozła mu wiadomość, że Ansgar niemylnie znajduje się w Lunie, a na tę sposobność schwywania go wódz czekał oddawna. Znał Lunę doskonale z poprzedniej bytności i wie-

dział, że mu się z niej Ansgar nie wymknie. Wódz nie wierzył nigdy temu, co mówił mu Ralf, że Ansgar prócz jedynj owj ucieczki, z jego pomocą dokonanej, nie wymykał się nigdy z więzienia. Wódz koniecznie posądzał starca o czary, Ralf poczynął już niejasno pojmować, że mogło być tego przyczyną coś potężniejszego od czarów nawet.

Ralf zadumany, smutniejszy jeszcze niż zwykle, siedział w łodzi tuż u stóp wodza bezczynnie. On dobrze wiedział, on jeden, po jaką zdobycz wódz śpieszy do Luny; żywo pamiętał szaty gniewu i groźby strasznych męczarni, jakimi Hastings już raz udrećzał Ansgara i drżał o niego z wielkiem podziwieniem własnem, jakby o swego ojca rodzono: nikt, nawet sam wódz, nie posądziłby go o to i nie pojałby tego.

— Dziwna rzecz—mrucał Ralf sam do siebie.

— Jaka? — wódz spytał. A Ralf odrzekł:

— Taka, że płyniemy daleko do Luny po tego, kogo mamy tuż bliżej, tam koło domu, w Hamburgu.

Wódz wstrząsnął głową:

— Dla tego też właśnie płyniemy do Luny, że Luna jest daleko od nas — rzekł — tam blisko on ma się na ostrożności w każdej chwili, bo się nas bezustannie lęka i dla tego podejść go niemożna; ale tu, ufny w odległość, zapomniał pewno, że my żyjemy; tu go pochwycimy, zobaczysz. A że go tobie już więcej nie oddam pod straż, tego bądź pewien.

Hastings tak, jak i wszyscy, przekonany był, że Ralf wydarł mu Ansgara jedynie dla wywołania jego gniewu. Ralf zamilkł; a w tém milczeniu, wśród ciszy oceanowej pustyni, pluskiem tylko odległym tysięcy wioseł poza niemi kołysanej, zaczęły mu się z dziwną dokładnością zjawiać i odnajdywać w duszy, słyszane przed laty nauki Ansgara i dziwna rzecz, on teraz daleko je lepiej rozumiał niż w on czas.

Milcząc tak i dumając, nie widział Ralf wcale zajęcia niezmiernego, z jakim wódz skrycie mu się przypatrywał z pod oka, udając zawsze, że w przestwór oceanu wzrok zagłębia.., i nikt z ludzi nie widział takiego spojrzenia wodza na Ralfa zwróconego, bo wódz najmocniej tego unikał; ale gdyby kto był raz jeden to spojrzenie ujrzał, tenby był poznał odrazu tajemnicę wielkiej cierpliwości wodza względem Ralfa, której się wszyscy zawsze dziwili... bo w spojrzeniu tém jaśniała tkliwa miłość braterska.

Pomiędzy liczną płynących korsarzy gromadą krążyły przez drogę nieskończone o bogactwie sławnej Luny powieści. Przywidziało się tej niesfornej zgrai, że Luna ma dwie nazwy, tak, jak oni, i ich wódz, i ich „chatki” mieli ich po kilka; że w tej to

Lunie mieszka najwyższy kapłan chrześcijański, jedném słowem, że Luna jest Rzymem. Rozniosło się wśród nich, ni mniej ni więcej, tylko, że idą na zawojowanie chrześcijaństwa, niby na zgnębienie w samém jej źródle tej potęgi, która była najcichszym ale i najsilniejszym ich przeciwnikiem, walcząc wytrwale choć zwolna ze wszystkiém, cokolwiek piętno przemocy i nieprawości nosiło, a walcząc siłą takich nieugniętych wojowników, jak Ansgar... Okrzyki przerywały od czasu do czasu ciszę oceanu, gdy rozbójnicy z góry ogłaszając się zwycięzcami Luny-Rzymu, jakimi zresztą w innych razach bywali zawsze dotąd pod wodzą

Przerażenie jednakże nie odejmowało im rozumu potrzebnego najbardziej w nieszczęściu, którego zresztą w owych czasach każde bogate miasto nadbrzeżne mogło się dniem i nocą spodziewać. Każde też było zawsze starannie do obrony przygotowane, tém lepiej, im bogatszymi byli mieszkańie. Luna wprawdzie mogła, licząc na odległość wielką od rozbójnictwa, mniej go się lękać od miast innych, pokazało się wszelako, że nadaremnie spuszczała się na cały przestwor oceanu i morza Śródziemnego.

W oczach przybyłych rozbójników, zanim ci, mimo swęj szybkości i wprawy, zdążyli na łąd wy-



Łą g w i e (str 743).

Hastingsa, mianowali się panami świata! Nietylko liczba ale i zapal, którego nigdy tam nie brakło, wzrastał przez drogę.

O cudnym, cichym brzasku dnia wiosennego, gdy szafirowe niebo w szafirowém przeglądało się morzu, strojąc się w jego zwierciadle w złocistego słońca promienie, mieszkańcy bogatej, warownej Luny, ujrzeni ze zdumieniem, które natychmiast przeszło w przerażenie, cały przestwór mórz okolicznych zaległy łodziami rozbójniczymi dalej, niż oko ludzkie zasięgnąć zdoła.

— Bóg jeden mógłby zliczyć ich liczbę! — mówili z rozpaczą łamiąc ręce spokojni mieszkańie.

skoczyć, Luna zamknęła swe ciężkie bramy, podniosła mosty zwodzone i stanęła cała kamienna, milcząca i groźna, potrójnemi potężnemi mury, wałami i fosami otoczona. Wszystko to stało się tak szybko i porządnie, mury i inne środki obronne były tak doskonałe, jakby Luna umyślnie przygotowała się na rozbójniczy napad i dawno go oczekiwała, dokładnie o jego chwili powiadomiona. Nie zdziwiło to wszystko wcale rozbójników, przywykłych do podobnego przyjęcia, ilekroć przybywali w odwiedziny w otwarty sposób. Ufni w mądrość wodza, na niego tylko patrzyli. On znał Lunę, skinął i zjawiło się mnóstwo łodzi tak ma-

łych, jak jego posłannicze łódki, służące rozbójnikom niby za pojedynczego wierzchowca. W mgnieniu oka chmara rozbójników, dosiadłszy tych wodnych wierzchowców i kładąc się na ich grzbietach, jak dzielny jeździec w pełnym biegu kładzie się na grzbiecie końskim, wpadła na nich pod bramy i furty boczne, i w małe wązkie kanały, które rozprowadzały wodę po całej handlowej Lunie.

— Górą Hastings! śmierć Lunie-Rzymowi! — wrzasnęli rozbójnicy, wtórując swym wrzaskiem szumowi morza i straszemu rykowi Hastingsowej trąby, głoszącej okrutne rozkazy.

— Jeszcze nie! — odrzyknęli mieszczanie, i potężne, straszliwe zapory, ku temu przygotowane, gład i żelazo zapadły w wodne kanały aż na dno z hukiem piorunu i pluskiem potężnym; Luna zadrżała od huku, rozbójnicy wrzasnęli z podziwu, niejednego z najzwałszych zmiażdżyły spadające zapory, ale podobne niespodzianki to była właśnie ich zwykła najmilsza „igraszka”. Zdziwienie krótko trwało, wszyscy, ufni w wodza mądrość, znowu spojrzeli na niego. On znał Lunę; trąba ryknęła rozkazem, zbójceki tłum zaroił się z wrzaskiem.

— Górą Hastings! śmierć Lunie-Rzymowi! — i niezliczona chmara rozbójnicza popęzłała w górę bram, zapór, ostrokołów i murów, niby nowego rodzaju wodno-ziemne a na wół skrzydlate jaszczurki, dla których nic, ani woda, ani ziemia, ani powietrze, nie stawia zapory, bo one wszędzie są w swoim żywiole.

— Jeszcze nie! — jęknęli mieszczanie i straszliwy potok smoły, ukropu, grad gładów i chmara strzał spadły i wyleciały poza mury Luny. Ochoczy, umyślny wybuch huczego śmiechu straszliwej bandy, przytłumił i zagłuszył jęki nieliczne jęki; taki był zwyczaj.

A wtém... stało się coś, co nie było w tej bandy zwyczaju, czego nikt nie rozumiał, a na co każdy zadrżał: straszliwy, wszechwładny głos Hastingsowej trąby ryknął i zamilkł gwałtownie, przeciągłym a żalonym jękiem urwany... Wszystkie oczy zwróciły się na wodza. On, ogromny, z ogromnym wilczym łbem, z kłami dzika na potężnej głowie wzniesionym, z olbrzymią w rękach trąbą, do złudzenia naśladowującą trąbę słonia, zachwiał się, stojąc na przodzie wspaniałej, potwornej łodzi swojej; stał jeszcze jedną chwilę, potem nagle rozciągnął ręce, wypuścił trąbę i padł w łódź na wznak...

W rozbójniczej flocie powstał szalony, niewypowiedziany zamęt; wśród obrońców Luny niewysłowiona radość; wszyscy rozumieli, że Hastings padł ugodzony strzałą... Jak na skinienie różdżki

czarnoksiężkiej, grobowa cisza, szumem mórz tylko podniesiona, nastąpiła po szalonych wrzaskach. Pięćdziesięciu najbliższych i głównie wodzowie, a za nimi tłumy towarzyszy, otoczyli łódź, wspinając się jedni na drugich na krawędziach swych łodzi, drżący, z bijącym sercem spoglądając ku wodzowi.. Hastings, krwią zbroczony, leżał, jak padł, na książęcym płaszczu, krwią także zlanym, u nóg jego wznosił się potworny łeb morskiego dziwadła, przód tej łodzi zdobiący, ponad głową wodza leżał drugi łeb potworu, stanowiący czapkę księcia-rozbójnika. Wódz przymknął oczy i dyszał, jakby ostatnim tchem, skinieniem ręki tylko, odrzucając stanowczo wszelką pomoc, długie, starannie utrefione jego kędziory, rozwiały się w nieładzie...

Ralf na kolanach przy nim schylony, drżący, z dziwnym, niepojętym dla rozbójników wyrazem ukochania i żalu wpatrywał się w jego oczy przymknięte; nastąpiła chwila ciszy tak ogólna i wielka, jakby nawet niebo, i ziemia, i morze uczyć chciały uroczystą powagą skon księcia-rozbójników. Po tej długiej chwili milczenia, Hastings dał słaby znak ręką... Ralf i sto głów najbliższych pochyliło się ku niemu, wstrzymując oddech, on mówić począł przerywanym szeptem:

— Umieram!... w chwili skonu otwierają się oczy moje... towarzysze! siła, przeciw której stanąłem do walki, pokonała mię! ona jest prawdą! Ja pragnę chrztu!... kto mi przyjaciel, niech zapuka do bram Luny, niech powie, że pragnę chrztu, aby prochy moje spocząć mogły w poświęconej ziemi! Kto mi towarzysz! niech bieży!...

Gdyby sto piorunów padło w tej chwili wśród rozbójników, nie sprawiłyby już one większego przerażenia, jak wymówione słowa powyższe; każdy, kto je usłyszał, skamieniał... Ale po długiej chwili kamiennego przerażenia, każdy poczuł, że bądź co bądź wola umierającego wodza przedewszystkiem spełnioną być musi. Ralf pierwszy, za nim kilku towarzyszy, a za nimi cały tłum z odleglejszych łodzi, w ponurym milczeniu, z odkrytymi głowami, przystąpił pod mury Luny, wygłaszając uroczyste prośbę umierającego wodza. Starszyzna miasta ukazała się na murach: prośba konającego poganina rozbójnika nie mogła być odrzuconą oczywiście. Śpiesznie uczyniono konieczne przygotowania i ułożono się, gdzie i z jak wielką uroczystością ciało nowego chrześcijanina będzie złożone na wieczny spoczynek w poświęconej ziemi, w mieście Lunie.

W czasie tych układów inne układy odbywały się w łodzi konającego księcia. Zaledwo Ralf ze swemi odszedł ku Lunie, wódz umierający otworzył jedno oko, a przekonawszy się o Ralfa odej-

ściu, otworzył i drugie i rzekł słabym głosem do otaczających:

— Mały Ralf jest przez Ansgara na wpół już zazarowany w chrześcijanina, on najlepiej sprawi poselstwo moje; tymczasem weźcie mi z pod lewego boku wielki pęcherz po krwi wytoczonej z wołu, która mię broczy i wrzucicie go w morze coprędzę, włożywszy weń kamień, aby Ralf go nie dostrzegł, a dajcie mi mego starego miodu, u Polan zdobytego; dajcie go sporo, gdyż potrzeba mi sił, bo ja zaraz po chrzcie umrę, a więc nie będę już nic jadł ani pił... dopóki nie ożyję, pamiętajcie! jęzcie ciężko, płaczcie głośno, gdy wnosić mię będziecie do kościoła w Lunie, trąby mojej nie zapomnijcie przy mnie położyć na marach, a Ralfowi nie dajcie mię dotykać, pamiętajcie!

To powiedziawszy, wypił Hastings kilka ogromnych puharów miodu jeden po drugim i... oczy przymknął. Właśnie wracał Ralf z Luny, a z nim z pośpiechem wielkim, lecz wielką też uroczystością, szedł orszak duchowieństwa i najstarszych mieszczan, z Ansgarem na czele, niosąc przybory i naczynia do obrzędu chrztu potrzebne. Hastings, jakby tylko czekał na dopełnienie chrześcijańskiego obrzędu, natychmiast po jego ukończeniu dogorywać się zdawał, gdy Ralf z nagłym jękiem padając do nóg Ansgara, zażądał chrztu także, wyznając, iż zdawna w duszy już był chrześcijaninem... Szmer stłumiony przeszedł po rozbójniczych szeregach:

— Ho ho!... — szeptano — skórka na buty! baran w wilczej skórce! Dzielny Hastings! dzielny wódz nasz! zna na wylot każdego, na kogo spojrzysz! dalej! płaczmy, a głośno, Luna nasza, Popiel nie odrodził się od ojca swego; wszakże tamten też zmyśloną chorobą swą dwunastu stryjów na ucztę przy łożu swoim zwabił! Dalej, płaczmy!

I płakali, tłumiąc jęki przez uszanowanie dla ostatnich chwil wodza i dla obrzędu. Ansgar tymczasem, duchowieństwem otoczony, poznawszy w Ralfie dawnego i ukochanego ucznia, z radością dopełnił i na nim uroczystego obrzędu. A wtém, jakby siłą potężnej woli uciekającego ducha dźwignięty na chwilę, podniósł jeszcze głowę wódz konający i ramiona wyciągając do Ralfa, słabym zawołał głosem:

— Bracie chrześcijaninie!

A Ralf odjęknął także jednym tylko wyrazem:

— Bracie! — i padł w objęcia konającego.

Wtedy ten uściskał go, i zaledwo zdążywszy wezwać wszystkich obecnych na świadków spełnionej swój potrójnej ślubowanej przysięgi, a potem zakazawszy Ralfowi dotykać zwłok swoich, dla

oszczędzenia mu żalości, uściskał go raz jeszcze i... umarł *).

Ile tylko religia chrześcijańska dozwalał wspaniałości i świetności pogrzebowych, ile bogactwo podnieść i zwiększyć może ich okazałość i powagę, z tego wszystkiego nic nie zaniedbała Luna bogata i duchowieństwo chrześcijańskie, aby uświetnić pogrzeb nawróconego księcia-rozbójnika, króla mórz, krwiożerczego, pogańskiego wodza wodzów korsarskich, któremu Luna cała chrestną matką była. Miasto czuło się zaszczyconém bez granic, wzrosło w powagę i znaczenie, i godnie postanowiło zaszczyt ten obchodzić.

Ale żadna obrzędów chrześcijańskich wspaniałość nie dorównała przecież téj, jaką bezwiednie chmary rozbójnicze otoczyły zwłoki swego wodza. Straszny jęk tych tłumów niezliczonych, głośzących nim szum morskich fal, był istotnie wspaniałością, ponad wszelkie inne godną pogrzebu potężnego króla mórz. Tak wniesiono go do najogromniejszego z kościołów Luny i na wysokim wzniesieniu, z królewską świetnością złożono z mieczem w jednej ręce, z trąbą olbrzymią w drugiej, z potworną czapką jego na głowie... koroną króla mórz!

Wśród uroczystego nabożeństwa, wśród ponurego śpiewu duchownych i płaczącego księżęcego orszaku, który cały oświadczył chęć nawrócenia się za przykładem wodza, nagle, z mieczem i trąbą w dłoni, powstał na wysokim świetlanym tronie swoim król mórz, i straszny ryk Wilkołaka zatrząsł murami świątyni i Luny, i rozległ się po falach morza, rozbójniczymi łodziami pokrytych!... Dzień sądny stał się dla Luny. W świątyni, przy drzwiach zamkniętych, Normandowie rzucili się na duchowieństwo i przedstawicieli miasta, mordując ich i rabując bogatą świątynię, tłumy rozbójnicze, pozostałe na łodziach, wdarłszy się na odgłos hasła do osłupiałego miasta, rabowały je, mordując lud.. Luna stała się pastwą łupieży. Rozbójnicza „igraszka” dzielnie się udała, jak zawsze każda zresztą pod wodzą Hastingsa.

On tymczasem, wydawszy swe straszne hasło, zeskoczył z wysokich mar, rzucając się z wzniesionym mieczem w ręce przed wielki ołtarz, tam, gdzie wśród innych księży siedział Ansgar; wódz nic nie widział, po nic innego nie przedsięwziął wyprawy na Lunę, niczego nie żądał, jak tylko Ansgara; ale gdy już prawicę kładł na jego ramieniu, nagle pomiędzy starcem i sobą ujrzał miecz Ralfa. Ralf, jedyny rzeczywiście nie wtajemniczo-

* Chrzest, cały podstęp Hastingsa i jego następstwa są opisane w kronikach. Wspomina o tém Szajnocha w dziele: *Lechicki początek Polski*.

da nie marznie w powietrzu, ale dopiero gdy dotknie liści, gałęzi drzew, lub drutów telegrafu.

— Nie tak prosta, jak ci się wydaje — rzekł ojciec — najdziwniejsze jest to gwałtowne zastyganie wody, bo gdyby marzła powoli, jak zwykle, tworzyłaby się tylko cienka skorupka, a tu od razu takie straszne masy lodu obciążają drzewa, że je gruchocą i łamią. Druty telegraficzne także w wielu miejscach się porwały pod tym ciężarem. Nie darmo zjawisko to niezwykłym nazwałem.

— Ale niechże ojczulek powie, dla czego to ten deszcz tak dziwnie zamarza, że się z tego robi niezwykle zjawisko? — mówiła Antosia — bo ja tam téj fizyki jeszcze się nie uczę i nie rozumiem nic a nic, czy to powietrze ma być zimne, czy drzewa, czy druty od telegrafów.

— Leonek musi już znać fizykę o tyle, że nam powie, w jakiej temperaturze woda zwykle marznie i w lód się zamienia — rzekł ojciec.

— Woda marznie, gdy termometr wskazuje zero — mówił Leonek.

— Dobrze; ale może nie jesteś jeszcze tak biegłym fizykiem, abys o tém wiedział, iż woda może się czasem utrzymać w stanie płynnym przy temperaturze daleko niższej, przy kilku i nawet kilkunastu stopniach zimna, a to już jest tęgi mróz.

— Nigdy nie słyszałem o tém, ażeby woda nie zamarzała w tęgi mróz — mówiła Antosia.

— Bo też to się zdarza bardzo rzadko. Trzeba, żeby woda była niezmiernie czysta i najzupełniej spokojna. Uczeni robią nieraz doświadczenia podobne w swoich pracowniach. Trzymają czystą wodę w rurkach szklanych, oziębiają ją stopniowo, a gdy już jest bardzo zimna, poruszają tylko rurczkę, lub wrzucają do wody twardą jaką okruszynę. Wówczas ta woda gwałtownie się w lód ścina, rozsadzając rurkę, bo lód więcej miejsca zajmuje od wody.

— Ach, ojczule! więc ten deszcz, co tak nagie zastyga na drzewach, to jest coś podobnego?

— Zgadłeś, chłopcze; kroplisty ten deszcz jest zimniejszy od zwyczajnego lodu, który marznie, gdy termometr wskazuje zero; ten deszcz może mieć parę stopni zimna, i gdy dotknie jakiegokolwiek twardego przedmiotu, gwałtownie się ścina w bryły lodowe. Parę lat temu takiż sam deszcz lodowaty padał we Francji, w okolicach Paryża i straszne po lasach wyrządził zniszczenie. Wówczas to po raz pierwszy uczeni ludzie zaczęli badać to osobliwsze zjawisko i doszli jego przyczyny. W kraju naszym od niepamiętnych czasów nic podobnego nie widziano. Klęska ta, jak wam mówiłem, rzadko bardzo się przytrafia.

— A widzisz, Leonku, czy nie dobrze się stało,

że ja byłem ciekawską, jak ty mówisz? Czy nie warto było się dowiedzieć o tym dziwnym deszczu, zimniejszym od lodu?

M. J. Z.

Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Pochwycono natychmiast trzech moich towarzyszy, a ogromny majtek porwał mię także za ramię, sądząc, że okrutny wyrok i do mnie się stosował, lecz kapitan zawołał:

— Daj pokój, wszak widzisz, że to dziecko, nad dzieckiem pastwić się nie godzi. Z niego jeszcze może być człowiek uczciwy.

Kapitan wziął mnie pod swoją opiekę, a gdyśmy przybyli do Marsylii, umieścił mnie w szkółce, gdzie byłem przez dwa lata, potem pozwolono mi powrócić do mojej ojczyzny. Dziś jestem znów Tuaregiem, mieszkańcem pustyni, tak samo, jak inni moi bracia, ale nigdy nie zapomniałem o tém, że Francuz był dla mnie miłosiernym. To też wszędzie i zawsze, czy w murach miasta, czy na pustyni, pod namiotem, gdzie tylko zasłyszę o podróżniku tego narodu, staram się być mu w czemkolwiek pożytecznym. Spotkanie z Francuzem jest dla mnie największą radością, świętem prawdziwem. Jak tylko o was się dowiedziałem, natychmiast wysłałem mego niewolnika, którego wyuczyłem trochę francuskiej mowy, aby was do mnie zaprosił. Poczciwy Dżebel spełnił moje polecenie, a teraz posłuchajcie, a pewnie nie pożałujecie tego, żeście tu przybyli.

— Co on nam powie? — szepnął Robert sam do siebie — może wie co o Henryku!

— Imię moje sławne jest w Afryce i Azji — mówił dalej Kadur — zowią mnie pogromcą panter i w rzeczy samej zabiłem już ze trzysta tych drapieżnych zwierząt. Niejeden książę panujący obdarzył mnie za to zaszczytną nagrodą. Mam cztery mieszkania, gdzie przebywam kolejno; jedno w ojczyźnie mojej, w kraju Tuaregów, drugie tu, w Egipcie, trzecie w Persyi, a czwarte w Indyach. Pojmujecie, że wszędzie mam stosunki z najdosłojniejszymi osobami. Otóż dowiedziałem się, że macie zamiar podróżować po całym świecie. Jesteście Francuzami, a więc macie prawo do mojej przychylności, jestem na wasze usługi.

— Czy zechcesz nam wyrobić firman, list polecający, dostojny panie? — zapytał Jakób.

— Ja wam dam coś lepszego od firmanu. Ten

kawał pergaminu, opatrzony podpisem i pieczęcią monarchy lub wielkorządcy, wielkie ma wprawdzie znaczenie u nas na Wschodzie. Ale są rzeczy lepsze jeszcze.

— Cóż takiego?

— Ten pierścień.

Mówiąc to, Sidi Kadur zdjął z palca pierścień złoty z wielkim topazem, na którym wyrżnięte były litery, składające wiersz Koranu.

— Macie tu — rzekł do nich — daleko więcej niż pasport; jest to talizman prawdziwy, czarodziejską władzą obdarzony, który wam zapewni bezpieczeństwo na każdym miejscu, w każdej wschodniej krainie. Gdybyście nawet weszli niebacznie do wnętrza pałacu panującego monarchy, gdzie żadnemu cudzoziemcowi zajrzeć nie wolno, posiadając ten pierścień i ztamtąd nawet wyjdziecie obronną ręką. Na widok tego topazu, stróże więzienni wypuszczają was na swobodę, karawany osłonią was opieką swoją, w meczetach znajdziecie bezpieczne schronienie; nawet Beduini, rabusie pustyni, nie odważą się wyrządzić wam krzywdy.

— Ależ to pierścień nieoceniony, dostojny panie! — zawołał Robert — z kądże pochodzi ta czarodziejska jego władza?

— Jest nas na Wschodzie pięćkroć stotysięcy posiadaczy pierścieni podobnych — mówił Kadur — Tworzymy rozległe stowarzyszenie, które ma dobro ludzkości na celu. Poznajemy się wszędzie po tym znaku.

Dwaj młodzieńcy spoglądali z podziwieniem na pierścień, który Kadur trzymał ciągle w ręce.

— Zazwyczaj — rzekł jeszcze — nosi się ten pierścień na czwartym palcu lewej ręki; ale niektórzy członkowie naszego stowarzyszenia, obawiając się zgubić go, lub innym jakim sposobem postradać, noszą go na piersiach, zaszyty w woreczku i na mocnym sznureczku zawieszony, jak talizman. Inni przytwierdzają go do rękonośnicy, gdyż pewni są, że nikt tam po niego nie sięgnie. Ja wam daję ten szacowny pierścień, pomyślcieź teraz, gdzie go schowacie?

— Ależ poco go mamy chować? — rzekł Jakób — czyż nie lepiej nosić go na palcu, otwarcie, aby każdy poznał od razu, patrząc na nas, z kim ma do czynienia i okazał nam należne poważanie?

— Zdanie to jest pełne mądrości — powiedział Kadur z powagą i podał pierścień Jakóbowi, a ten go włożył na palec Roberta, mówiąc:

— Podróż ta przedsięwzięta była dla ciebie; słuszną jest rzeczą, aby i dar ten szacowny pozostał w twoich rękach.

Potem wszyscy trzej składali najserdeczniejsze dzięki wspaniałomyślnemu gospodarzowi za taką przychylną, a on rzekł na to:

— Miłosierdzie waszego rodaka zachowało mi życie; spłacam więc tylko dług wdzięczności.

Jakób tymczasem wypalił fajkę, młodzieńcy zjedli ze smakiem konfitury, a spojrzawszy na zegarek zobaczyli, że już czas było powracać do miejsca, gdzie obozowała karawana. Przy pożegnaniu dziękowali znowu szlachetnemu Kadurowi, a on im życzył pomyślnej podróży. Wzruszony był bardzo, odprowadzając ich do progów.

— Dostojny Kadurze — rzekł Robert — nigdy nie potrafię odwdziżyć ci tego, co czynisz dla nas.

— I owszem, nic łatwiejszego — odrzekł Tuareg.

— A to jakim sposobem?

— Staraj się wyświadczyć komu usługę w imieniu moim. Najlepszy to sposób spłacenia długu wdzięczności i najmilszy Bogu.

A gdy już wychodzić mieli, Kadur dodał jeszcze:

— Panowie, nie żegnam się z wami; wszyscy jesteśmy w ręku Boga, któż odgadnie, gdzie ta wola wszechmocna skieruje nasze kroki? Może więc jeszcze spotkamy się w życiu. Ja przynajmniej nie tracę nadziei, że kiedyś razem wypalimy fajkę w którymkolwiek z tych krajów oddalonych, gdzie zdążacie teraz.

Dżebel Abisyńczyk odprowadził naszych podróżników do tegoż samego miejsca, gdzie ich napotkał przedtym. Robert zachwycony był tą niespodziewaną przygodą; wszyscy trzej z rozrzwinięciem powtarzali słowa Tuarega: „Francuz ocalił mi życie. Ja zaś staram się służyć w czym tylko mogę rodakom jego”. Jakież piękny przykład prawdziwej wdzięczności!

— Śpieszmy — rzekł żywo Marek — karawana niedługo miała wypoczywać, gdybyśmy się spóźnili, gotowi nas tu samych zostawić.

Nie mieli więc czasu zwiedzać osobliwości miasta, mieszkania wicekróla, które jest bardzo okazałe, dawnego pałacu kalifów, wspaniałych meczetów, pięknych ogrodów Murad-Beya, chociaż wiedzieli, że wszystko to warte było widzenia.

— Przejdźmy przynajmniej przez wielki bazar — rzekł Jakób.

Wielki bazar w Kairze jest to targ urządony na sposób wschodni. Wyobraźcie sobie ogromny plac, gdzie się odbywa sprzedaż produktów najrozmaitszego rodzaju. Można tam widzieć konie, broń, bogate tkaniny jedwabne, wełnę, pachnidła i zboże. Baraki, sklepy z desek klejonych, zabezpieczają niektóre przedmioty od upału i niepogody.

Jest to widok nadzwyczaj malowniczy; tysiące postaci w jaskrawych strojach wschodnich przesuwają się ustawicznie przed oczyma widzów, droma-

dery obładowane, lub czekające na ładunek, stoją przed sklepami, a często w postawie klęczącej zjadają jęczmień i piją wodę z cebrów. Sztukmi-strze uwijają się pomiędzy przekupniami, ruch nieustanny panuje na każdym kroku.

Gdy przechodzili przez bazar, Robert przypomniał sobie swój pierścień i przyszło mu do głowy, że tu mógłby wypróbować najlepiej tajemniczą jego władzę. Powiedział to Jakóbowi.

— Cóż myślisz zrobić? — zapytał stary marynarz.

— Zobaczysz — odrzekł młodzieniec i stanął przed sklepem owoców.

— Proszę mi dać trochę daktyli, pomarańcz i rodzyneków — rzekł do sprzedającego muzułmiana, a gdy ten podawał mu żądane owoce, Robert wyjął z woreczka pieniądź, a przytém umyślnie błyskał pięknym swym pierścieniem przed oczyma kupca. Przekonał się odrazu, że Kadur nie przesadzał wcale. Człowiek ten, spostrzegłszy błyszczący topaz, usunął rękę i przybrał postawę pełną uszanowania, mówiąc:

— Bierz i pożywaj, ja od ciebie zapłaty nie wezmę.

— Ależ ja nie mogę przyjąć darmo twoich owoców — mówił Robert zakłopotany.

— A więc oddaj należność moję ubogiemu — rzekł kupiec — nie brak takich, którym to ulgę przyniesie.

Robert zrozumiał teraz, że tajemne stowarzyszenie, o którym mówił Kadur, przyjęło za prawo wyrządzać ludziom różne usługi, a w zamian żądać od nich, aby drugim także dobrze czynili.

Podróżnicy nasi poszli dalej i wkrótce złączyli się z karawaną, która już wybierała się w drogę.

— A co, czy nie mówiłem — rzekł Marek, — zdążyliśmy w samą porę.

Po chwili karawana poruszyła się i z wolna posuwała się znowu w głąb' pustyni. Kupiec syryjski, Riza-ben-Assel, o którym nie zapomnieli zapewne czytelnicy, zbliżył się do naszych przyjaciół.

— O, moi panowie — rzekł, używając wyrażen europejskich, gdyż zwiedzał różne strony świata i znał różne obyczaje — gdzieżście się zapodzili? Wyobraźcie sobie, że ja tu was szukam wszędzie od pół godziny, bo mię pytano o was.

Jakób, Robert i Marek, niezmiernie zdziwieni, spojrzeli na siebie, nie pojowali, co to mogło znaczyć.

— Któż to się o nas pytał? — rzekł Jakób — my jesteśmy obcymi w tym kraju i nikt nie może się nami zajmować.

— A jednak widocznie tak jest.

— Ale powiedzże, kto to był taki?

— Był to jakiś ubogi syn Proroka, bardzo skro-

mnie, prawie nędznie odziany, kłaniał mi się nisko i zapytał:

— Czy to wasza karawana przechodziła niedawno koło pałacu córki Faraona?

— Tak jest — odpowiedziałem.

— Czy są pomiędzy wami cudzoziemcy, ludzie z Europy?

— Tak jest.

— Trzech, nieprawdaż?

— Tak, trzech.

— Oni podobno często z tobą rozmawiają.

— W rzeczy samej, idziemy zwykle obok siebie.

— A czy nie wspominali ci kiedy o czwartym swoim towarzysz, młodzieńcu francuzkim, który porwany został podstępem i zdradą przez tunetańskiego rabusia?

— Wspominali mi o tém rzeczywiście — odrzekłem, a nieznajomy okazywał coraz większe wzruszenie i dziwny niepokój, spoglądając ciągle dookoła.

— Wielką szkoda, że ich tu niema — powtarzał — wielka szkoda!

— Ale, czyż nie możesz trochę poczekać? — rzekłem. — Oni pewnie niezadługo powrócą, poszli tylko obejrzeć osobiwości Kairu. Pewny jestem, że za godzinę najdalej tu będą.

— Za godzinę! Allah jeden wie ile łąz i radości przeżyć może człowiek w ciągu całej godziny! Mam tyle tylko wolnego czasu, ile ma gazela, gdy chce ująć drapieżnych pazurów lwa: Ach, jaka szkoda! miałem coś ważnego bardzo do powiedzenia tym cudzoziemcom.

— Cóż takiego? czy nie mógłbym im tego powtórzyć?

On pomyślał chwilkę, zawahał się jeszcze i rzekł nakoniec przyciszonym głosem:

— Słuchaj: powiedz tym cudzoziemcom, że młody ich towarzysz jest niedaleko.

— O, Boże wielki, dzięki Ci! — zawołali trzej nasi podróżnicy. Chcieli jeszcze o coś zapytać kupca syryjskiego, ale przerwały im donośne wołania dowódcy karawany:

— Allah! Allah! Allah jest Bogiem jedynym!

VI.

Podróż w pustyni. — Mamidła. — Droga przez piaski. — Oaza. — Lew i gazy. — Suez. — Źródło Mojżesza. — Dżidda. — Grób Ewy. — Pismo ołówkiem. — Tajemnice Mekki. — Żebrak. — Podróż do świętego miasta. — Kaaba — Studnia Zem-Zem. — Henryk odszukany. — Nowe kłopoty.

Po odmówieniu modlitwy, karawana postępowwała dalej i wkrótce znikły z oczu naszych podróżników wyniosłe szczyty minaretów Kairu, a przed

nimi roztaczał się niezmierny ocean piasków pustyni. Na drugi dzień inny znów widok ukazał się przed oczyma zdziwionych Europejczyków.

— Cóż to za piękne jezioro! — rzekł Jakób.

— A jakie wspaniałe palmy wznoszą się na jego brzegach — dodał Robert.

— I kwiaty przesliczne i trawa taka zielona! — wołał Marek uradowany.

Ale towarzysze ich, kupiec syryjski, uśmiechał się, słuchając tych wykrzykników. Szli dalej, a jezioro ukazywało się ciągle w tém samym oddaleniu, jak gdyby umykało przed nimi. Bo to było tylko złudzenie wzroku, piękne, lecz fałszywe widziadło, znane dobrze mieszkańcom Wschodu, marmidło pustyni.

Dowódzca karawany kazał odmówić modlitwę, urągując złudnemu zjawisku. Potém ruszyli dalej, a pielgrzymi, dla dodania sobie odwagi, powtarzali raz po raz:

— To nie jest wcale prawdziwa pustynia; tu można dla przyjemności odbywać przejażdżkę.

(D. c. n.).

Łamigłówka zgłoskowa (St. K.).

Z następujących zgłosek: cya—da—des—il—
 jej—ka—kra—ku—kuł—mon—mil—ni—o—o—
 pa—pał—set—ski—so—tes—tów—u—za— uło—
 żyć wyrazy: 1) Znakomity wódz starożytny 2) Roślina 3) Rzeka w Polsce 4) Jezioro północne 5) Poeta polski 6) Słynny wędrowiec 7) Uczucie, do pięknych czynów prowadzące 8) Ptak 9) Miasto w Polsce. Pierwsze i ostatnie litery, od góry do dołu odczytane, utworzą nazwisko i imię znakomitego polskiego muzyka.

Łamigłówka w kwadraciku (Wł. N.).

W kwadraciku z 9 podziałek umieścić 2 K—
 4 O — 2 T — 1 R — aby odczytać w obu kierunkach: 1. Zwierzę 2. Narzędzie zmysłu 3. Drogę.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

Szarady:

I — za.

Zadania konikowego:

O, jak piękne są przestworza!
 Wszędzie śpiewy, drzewa, kwiatki,
 Wszędzie widna ręka Boża,
 Dusza ojca, dusza matki.

* * *

Wiosną żyje serce młode,
 Czerpie miłość i nadzieję,
 Praca, cnota da swobodę,
 Któręj nic już nie rozwieje.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Heluni B. Dziękujemy bardzo za grzeczny liścik i łamigłówkę, którą niezadługo wydrukujemy z malutką zmianą, gdyż nie pisze się *moim* ale *mojem* zdaniem. Zagadki i łamigłówki, zwłaszcza tak porządnie i czysto pisane, są pożądane obecnie w naszej redakcyi, bo się dawniejsze zapasy wyczerpały.

Morysiowi K. Łamigłówka bardzo dobra, ale zewsząd nam nadsyłają mnóstwo jednakowych, z przysłów układanych, a i ten dział musimy troszkę urozmaicać. W Piśmie naszym mnóstwo jest wzorów, prosimy więc kochanych współpracowników w dziale łamigłówek, aby zajrzeli do dawniejszych.

Andzi S. w Makowie. Upodobanie do historii i opowiadań historycznych jest bardzo chwalebne i cieszymy się, że kochanej czytelniczce dogodzić w tém możemy, gdyż mamy w pogotowiu kilka powieści historycznych różnych autorów i autorek. W następnym Nrze rozpocznie się powieść p. t. *Ostatni Piast na Śląsku* przez p. M. Świdorską. Potém nastąpi znów opowiadanie z dziejów węgierskich, które śliście złączone były z naszymi w czasach dawniejszych. Gdyby czytelnicy *Wieczorów* obliczyli wszystkie historyczne powiastki, któreśmy im podali w ciągu lat trzech, przekonaliby się, że dałby się z tego złożyć spory zbiorek.

Maryanowi S. w Poznańskim. Na wszystkie zapytania naszych kochanych czytelników odpowiadamy z największą przyjemnością. W następnym Nrze *Wieczorów* Kazio w liście z Warszawy doniesie o nowych książkach dla młodego wieku; z dawniejszych polecamy *Przygody Paska*, opracowane dla młodzieży.

Rózi L. w Warszawie. Wielka to dla nas przyjemność gdy młodzi czytelnicy i czytelniczki donoszą, co się im w Piśmie naszym najlepiej podoba. *Przygody naokoło świata*, są tłómaczone z francuzkiego. Zapewne się nie skończą w tym roku, bo młodzi podróżnicy dużo na to czasu potrzebować będą, aby całą ziemię objechać.

Mańci R. W tym roku Pisemko nasze tyle podało kómedyjek i tak rozmaitych, że chyba mają w czém wybierać czytelnicy kochani. Jeszcze jedną zapewne zamieścimy przed Nowym Rokiem, jeśli nam miejsca starczy.

P. Amelii Gr. w Zapadyńcach. W liście Pani był tylko rubel jeden, należy się więc nam jeszcze kop. 25 dopłaty za pren. kw.

P. Maryi Bark. w Lublinie. Żądany Nr. wysłany bezpłatnie.